

Maria SAMBOR

ARCHIWUM WARSZAWIE

Nazywam się Maria Sambor. Urodziłam się w 1900 r. we Lwowie. Potem rodzice przenieśli się na wieś, mieszkaliśmy w Krasnem, a ja dojeżdżałam do Lwowa do szkoły - do ~~1-jej~~^{prewe} i 2-jej klasy. Później rodzice przenieśli się do Brodów i tam chodziłam do szkoły. Ojciec był maszynistą kolejowym. Było nas ~~czworo~~^{pięć} w domu, w tym ~~4~~^{czworo} dzieci - ja, dwie siostry i brat. W Brodach skończyłam 7 klas. Wybuchła wojna w 1914 r. Ewakuowaliśmy się z Brodów i wyjechalismy aż do Salzburga w Austrii. Tam byliśmy przez rok i w 1915 r. wróciliśmy do Lwowa.

We Lwowie ojciec pracował, a ja poszłam do seminarium nauczycielskiego, do którego chodziłam 2 lata, a później wyszłam za mąż. Mąż był maszynistą kolejowym. Zamieszkaliśmy najprzód we Lwowie, ale po kilku miesiącach mąż się przeniósł do Tarnopola i tam już mieszkaliśmy do końca. Miałam ~~3~~^{trzech} synów: Tadeusza, Jana i Krzysztofa. ~~W czasie wojny ukraińskiej w 1918 r. mama została we Lwowie ze swoją siostrą, ojciec był w Brodach z bratem, a 2 siostry przyjechały do mnie i u mnie zostały - tak że cała rodzina była podzielona na trzy części. Za jakiś czas ojciec przyjechał i zabrał nas do siebie. Mąż mój przestał pracować, bo Ukraińcy wszystko zajęli i wyjechalismy do Brodów. Byliśmy tam do końca tej całej Ukrainy, potem wróciliśmy do Lwowa (wiosną 1919 r.), a później do Tarnopola.~~

W 1920 r. była wojna bolszewicka, znów najazd, znów się ewakuowaliśmy. Wtedy mój najstarszy syn był malutki - miał 4 miesiące. Bolszewicy wycofali wszystkie służby urzędnicze (polskie), a wcześniej rodziny się ewakuowały. Myśmy wyjechali do Strzyżowa k/ Krosna (okolice Rzeszowa) - cofaliśmy się na zachód i bolszewicy nas nie dosięgnęli. Później, cofnęli się spod Lwowa - jak był cud nad Wisłą. Wróciliśmy z powrotem do Tarnopola i tam zastała nas wojna /II-ga światowa/.

Niemcy do Tarnopola nie doszli, ale tamtędy uciekała przez Zaleszczyki - do Rumunii - polska armia, nawet nie armia, tylko wszyscy ci dygnitarze i ten Rydz-Śmigły. 2-ego czy 3-go września było wielkie bombardowanie przez Niemców - myśmy nawet nie wiedzieli dlaczego - a to rząd polski uciekał.

Myśmy mieszkali przy samym dworcu kolejowym. Przyjechały do nas moje dwie siostry z dziećmi: jedna mieszkała w Bielsku-Białej, druga w Cieszynie - i stamtąd przed Niemcami uciekły do Lwowa, a potem do nas. U mnie było pełno ludzi, nawet obcych, bo w popłochu wszyscy uciekali z zachodu na wschód.

Bombardowanie trwało, zdaje się, dwa dni. U nas wszystkie szyby powylały z okien, wszystko się trzęsło, mury popękały, bo tuż koło nas wybuchła bomba. Po tym bombardowaniu rodzina przeniosła się do znajomych na wieś - 4 czy 5 km od Tarnopola. W domu zostałam ja i szwagier

żeby nie porozkradali rzeczy z mieszkania. Pozabijaliśmy okna deskami i po kilku dniach pojechalismy na wieś ~~z~~ do reszty rodziny.

Potem weszli bolszewicy. Byliśmy wtedy jeszcze na wsi. Wkroczyło wojsko i czołgi. Kazali wszystkim mężczyznom ustawić się pod ścianą. Mój szwagier strasznie się zdenerwował, myślał, że ich chcą rozstrzelać. A oni tylko kazali im podnieść ręce do góry, zrewidowali czy ktoś nie ma broni i dali spokój. Tam był ~~z~~ mój mąż i syn. Bolszewicy zrobili jeszcze rewizję w mieszkaniu i odeszli. Po paru dniach wróciliśmy do Tarnopola i dowiedzieliśmy się, że w mieście było gorzej, bo tam resztki wojska jeszcze stawiały opór. Zaraz ~~tego~~ września była mobilizacja, ale nie mieli dla nich ani broni, ani amunicji, ani odzieży. Obozowali dzień i noc na Błoniach w Tarnopolu. Ludzie chodzili do tych żołnierzy, nosili im jedzenie, bo jeść też nie mieli co - w ogóle nic nie było zorganizowane. Jak bolszewicy wkroczyli, to wszystko się rozeszło, część wróciła do domów, przebrała się w cywilne ubrania, niektórzy wyżsi oficerowie puciekali za granicę, ale byli jeszcze zawodowi - cały pułk...

Wymiana dokumentów była później. Pieniądze też były polskie przez dłuższy czas, bo myśmy rubli nie mieli. Mąż poszedł przedwcześnie na emeryturę, ale jeszcze pracował w tamtejszej cukrowni. Dali nam (jeszcze polski rząd) emeryturę za trzy miesiące, ale Rosjanie już nie wypłacali.

W Tarnopolu ja nie pracowałam, a ~~mąż~~ synowie wszyscy chodzili do gimnazjum. Najstarszy ~~Tadeusz~~ należał do harcerstwa, był bardzo aktywny i naturalnie zabrali go - 7 kwietnia 1940r. Przyszli - jak zwykle - w nocy, rewizja, zabrali Tadeusza i - przepadł. I do tego czasu nic nie wiadomo. Wiedzieliśmy od znajomych, że został skazany na karę śmierci. Prawdopodobnie wyrok wykonano.....

10 obronie gimnazjum im R. Traugutta (patrz relacja Anny) - R.S.T
nic nie wiem, a przecież Tadzio by mi powiedział.....

Żyło się ze sprzedaży rzeczy, bo ta ~~trzy~~ miesięczna renta nie na długo staczyła - od razu wszystko podrożało. U mnie była jeszcze siostra Zosia. Druga siostra wróciła do Cieszyna, bo szwagier był tam nauczycielem gimnazjalnym, a Ona na początku września nic ze sobą nie wzięła, a tu zima się zbliżała; namyślili się więc i przeszli z powrotem przez granicę - przez Przemyśl. Drugi szwagier - mąż Zosi - też postanowił wrócić do Bielska-Białej. I tymczasem Niemcy go zabrali do Oświęcimia i tam zginął. A Zosię wywieźli na Sybir w czerwcu 40r. ^z Łódź.

Nas wywieźli 13-go kwietnia 40r. Przyszli w nocy, stali, czekali, żeby się zapakować - wolno było wziąć 50kg na osobę. Zabrali bez żadnego podania powodu. Jeszcze ja chciałam iść na strych po mąkę, to mnie nie puścili. Syna też nie puścili.... Wtedy aresztowali przede wszystkim rodziny wojskowych, sędziów, leśników - wszystkich na ważniejszych stanowiskach. Z nami najwięcej było rodzin wojskowych.

~~Dziotko-duk~~
~~Dziotko-duk~~

W Tarnopolu załadowano nas od razu do transportu i pojechalismy do Pawłodaru. Nie pamiętam, przez jakie miejscowosci przejeżdżalismy, bo jechalismy w zamkniętych, towarowych wagonach z okienkami zakratowanymi u góry. Tylko od czasu do czasu otwierali wagon i pod strażą pozwalali wyjść kilku osobom - dawali wtedy chleb i "kipiatok" - to było całe pożywienie przez te dwa tygodnie podróży. Chłopcy mieli wtedy 17 i 14 lat.

W Pawłodarze przeładowali nas na ciężarówki - jak śledziwi porozdzielali nas po sowchozach i kołchozach.

Jeszcze w pociągu poznalismy rodzinę Małachowskich: w naszym wagonie jechała babcia Anusi, ciocia i brat - Stas, a w innym wagonie - jechała matka /p. Maria Małachowska/ z Tadziem, Anusią i Jadwisią. Później nie zawsze mieszkalismy w jednym baraku, ale bylismy przeważnie w jednej miejscowosci i spotykalismy się.

Zabrano nas do sowchozu leżącego o 40 km od Pawłodaru i tam bylismy do 41 roku - do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Przyjechalismy tam w maju, kiedy Kazacy (właściwie Kirgizi)*, którzy tam mieszkali, wyjechali na wypasy bydła. Umieszczono nas w ich chatach, w których mieszkalismy do jesieni. Na jesieni przyjechali Kirgizi, wyrzucili nasze rzeczy i nas na ulicę i sami weszli do swoich chat. A były już przymrozki. Niektórzy sobie coś pozajątwiali lub przydzielono ich do wspólnego mieszkania w chatach kazachskich, a nas zostawili bez niczego. Przez kilka nocy spalismy w takiej sieni-przybudówce, na mrozie. Później zarządca fermy kazał nam się sprowadzić do starej łaźni. Tam przynajmniej były jakieś drzwi, okna i kocioł, ale nic więcej. Mieszkalismy tam też kilka dni, razem z jedną Żydówką - nawet inteligentną kobietą z dwojgiem dzieci. Żydówka ta bardzo mnie prosiła, żebym ją wzięła do siebie, bo Kirgizi nie lubili Żydów. W naszym sowchozie byli prawie sami Kirgizi, tylko jeden był Rosjaninem pochodzącym z niemieckiej kolonii, których tam było kilka. Ten Niemiec był jakimś pisarczykiem, bo zarządca fermy nawet podpisać się nie umiał - podpisywał się krzyżkami.

Po kilku dniach porozmawiałam z Kazachem, który mieszkał obok (a niektórzy byli nawet życzliwi) i on zgodził się wynająć nam za 15 rubli taką małą stancijkę. Żydówka znowu mnie prosiła, żebym ją wzięła do siebie, ale Kirgiz protestował: "Jerej nie, Jewrej nie". Więc ja mówiłam do niego: "Słuchaj, a jak ci da też 15 rubli, to weźmiesz?". On w końcu odpowiedział: "No, jak ty się zgodzisz mieszkać z nią, to niech tam". I mieszkalismy tam razem do końca pobytu w tym sowchozie.

W lecie cała rodzina pasła cieleta (była to ferma hodowlana), robilismy jakieś lepianki, przez jakiś czas pracowałam przy świniach. Powinni byli nam płacić, ale nigdy pieniędzy nie było, tylko co parę miesięcy coś dawali. Ja przypuszczam, że oni brali te pieniądze dla siebie.

czy Karachowie
tak w tym czasie
w samy -
dużo przysięg
na +
Hemat
110.

/Dziotko-duk

W sowchozach były sklepiki, ale kompletnie puste, dosłownie nic w nich nie było. Ale Kazacy ^(Kazachowie) musieli dostawać jakiś towar, bo przecież czymś żyli?. Tylko dla nas nic nie było. Zaczął się głód. Kto co miał z ubrania, to chodził po kolchozach i zamieniał na pszenicę, na mąkę (poza zbożem tam się nic nie rodziło) i tak się żyło. Tam, gdzie byliśmy, był wiatrak i można było ^{zmielić} zmieścić zboże, ale tylko wtedy, jak był wiatr. Jak nie było wiatru, to trzeba było czekać (żarn wtedy jeszcze nie mieliliśmy).

X Zrobiło się zimno, już szron na polach, a my pasieme cielęta - bo dopóki śnieg nie spadnie, to musi się je wyganiać na paszę, chociaż cielęta też niewiele zjadły, bo trawa była zupełnie oszroniona, no, ale trzeba było. Ja zupełnie zdarłam buty ^{z kory} na tych cielętach; miałam śniegowce, jeszcze z domu, i na tej suchej, ostrej trawie przez jedno lato zupełnie się zdarły. Prosiłam zarządcę, żeby mi pozwolił jechać do Pawłodaru, bo muszę sobie kupić jakieś walonki, a ktoś mnie zastąpi przy tych cielętach, ale on odpowiedział: "Nie, nie wolno. Teraz będziesz tutaj, a na zimę - już niedługo - pojedziecie na wyspę". Tam była taka odnoga Irtyesu tworząca wyspę, na której gromadzili siano i wyganiaли na zimę bydło, żeby miało bliżej paszę. Myśmy to nazywali "bezludną wyspą". Mieli tam umieścić tylko nas i bydło. Zaczęliśmy z synem protestować, że nie pojedziemy, bo tam można się zupełnie wykończyć, umrzeć z głodu. Postanowiliśmy przestać pracować. Powiedziałam do zarządcy; że jak mi nie pozwoli pojechać po walonki, to ja nie będę pracować, przecież mróz już jest, a ja nie będę pracować boso. Zarządca zaczął krzyczeć, że do sądu mnie odda itp. Trudno, oddawaj do sądu. Nie wyszliśmy do pracy. Przylatywał co chwilę do chałupy, wściekał się i zapędzał do pracy. Nie pracowaliśmy przez kilka dni - normalnie zastrajkowaliśmy. Na drugi dzień co prawda poszłam do niego i powiedziałam, żeby mi przydzielił inną pracę, bo ja przy cielętach nie będę, zwłaszcza, że już przydzielili jakiegos Kóżaka. Odpowiedział: "Sidi doma" - więc siedziałam. Za jakiś czas podał mnie i syna /Janka/ do sądu. Mąż i drugi syn już wtedy nie pasli, mąż gdzieś pracował - chyba jako stróż. Po 2 tygodniach wezwali do sądu - nas i jeszcze parę osób (za jakieś głupstwa). Było nas 7 czy 8 osób. Naprzód kazali nam jechać do Pawłodaru na sąd i Janek miał poganiać. Zaprzęgli mu woły, ale on je wyprzągł i powiada, że nie pojedzie. Wreszcie był telefon, żeby nie przyjeżdżać, bo sąd przyjedzie na wieś. Jednych skazali na kary pieniężne a mnie i Jankę - na 3 miesiące aresztu. Zaprzęgli sanie (było to w grudniu) i zawieźli nas do Pawłodaru, gdzie siedzielismy te 3 miesiące. Warunki były lepsze niż "w domu": palone było, ciepło było, dostawaliśmy 3 razy dziennie jesć i nic nie robiliśmy. Martwilismy się tylko o męża i młodszego syna. Wyszliśmy w marcu - wypoczęci. W tym więzieniu jakoś się z nami grzecznie obchodzili. Było tam dużo pań - więcej Polek niż Rosjanek. Niektóre podostawały po 4-5 lat, a dzieci zostawiły w kolchozach.

Te kary to były z paragrafów politycznych, ale dlaczego, to nie wiadomo. Była jedna pani, bardzo inteligentna, podobno jakaś arystokratka z Wilna - pani Zosia Wasgiert. Ona też zostawiła synka, 4-5 lat - pewno go do domu dziecka zabrali. Kobiety z wysokimi wyrokami wywozili na roboty. Nasz wyrok - 3 miesiące za nie wyjście do pracy - nazywali "za prochół"^x - była to lekka kara i nie wywozili do pracy.

Wkrótce po naszym powrocie z więzienia, w marcu, Janka znowu wsadzi li! Któregoś dnia Janek powiedział, że pojedzie do Pawłodaru, żeby coś sprzedać i kupić do jedzenia. W sowchozie już nic nie było, p^o parę dni nic nie jedliśmy, dostawaliśmy tylko 2 wiadra dziennie odciganego mleka. Z tego mleka robiłam ser, piliśmy je ~~x~~ zamiast wody i to było całe pożywienie nieraz przez 2-3 dni. Wyprawiłam więc Janka do Pawłodaru - a on ~~x~~ nie wraca i nie ma żadnej wiadomości. Więc sama zgłosiłam się do NKWD, ~~x~~ że syn pojechał do Pawłodaru, nie wrócił i nie wiem, co się z nim dzieje. Na drugi dzień ktoś mnie od nich zawiadomił, że Janka aresztowali, bo cnciał uciekać do Polski. Kazacy jeszcze dodali - że matka dała mu kilka złotych u kazaka (do Polski) uciec - to już sami wymyślili, bo skąd ja bym miała tyle złotych. A Jankowi rzeczywiście przyszedł taki pomysł do ~~gł~~ głowy, żeby uciec do Polski. Myśmy dostali paszporty rosyjskie, ale on jeszcze nie był pełnoletni i nie miał paszportu; dzięki temu zresztą wypuścili go po tygodniu czy dwóch, bo niepełnoletnich wtedy nie wolno było trzymać w więzieniu.

Kilka dni po tym aresztowaniu Janka wybuchł pożar stepu - to było straszne przeżycie. Step zaczyna się palić: koło południa zaczęło się unosić coś jak dym, jak para - z daleka na horyzoncie / a tam jest bardzo daleki horyzont/ - wyglądało to tak, jakby przy ziemi słońce świeciło. Zaczęło się to zbliżać - i widzimy - pożar! Zrobił się popłocn, zaczęli pędzić bydło "nad staw" - było to takie ogromne wyschnięte jezoro, przy którym nie było trawy, tylko sól i zaschnięte bagno, więc tam płomień nie dochodził. Ja popędziłam bydło, a mąż jeszcze został, żeby pozabierać trochę tych łachów, co jeszcze nam zostały - bo się wszystko mogło spalić. Całe bydło spędzili nad ten staw. Przyszła fala ognia: w jednej chwili zrobiło się gorąco jak w gorącym kotle, wszystko pożółkło. Ogień szedł po ziemi, naszym ziemiankom /zbudowanym z darni/ nic się nie stało. Kazacy moczonymi w wodzie szmatami na patykach bili w ten ogień, ale to nic nie pomagało, bo to było morze ognia. Niektórzy włązili do studni dla ~~by~~ bydła i ogień im ponad głową przechodził. Jak już fala ognia przeszła, to trzeba było poczekać, aż trawa ostygnie, więc bydło się pilnowało, żeby nie wyszło na ten żar. Prawie całą noc staliśmy tak z tym bydłem. Potem zaczęło się je pędzić, oczywiście bydło się pomieszało, bo było kilka stad, ale Kazachowie jakoś je odróżniali /wg numerów?/, więc moje stado też się znalazło. Ale przez 3 dni bydło stało głodne, bo przecież trawa była spalona

W czasie tego pożaru skręciłam sobie nogę w kostce, spuchła mi jak beczka. Na trzeci dzień pojechałam do lekarki, która stwierdziła, że można z tym chodzić, więc o kiju wróciłam z powrotem / (podwiózł mnie kawałek ja jakiś Kazak). Kazali mi pędzić bydło - jakies 10 czy 12 km. Mówię więc, że ja nie mogę iść, mam nogę spuchniętą, buta nie ubiorę, stanąć nie mogę... - "Symulujesz! Jak nie popędzisz bydła, to zostaniesz tutaj!" /Oni z powrotem pędzili bydło do wowchozu, a rzeczy wzięli na wóz/. Ja w rozpacz... Oni, mąż i sąsiedzi poładowali rzeczy na wozy i pojechali - a mnie zostawili. Ja siedzę na stepie, a oni jadą. W końcu, jak ostatni wóz odjeżdżał, wlażłam na niego i jadę. Zobaczył mnie Kazach na koniu, podleciał z natchajką i zaczął mi wymyślać. "A się nie odzywam. Myslałam, że mnie uderzy, ale nie uderzył - widocznie jakiś nakaz mieli - i na tym wozie dojechałam. Była ciemna noc, bydło najpierw popędzili, a wozy zostały. Nie wiedziałam, gdzie szukać męża i syna. Kazacy palili ogniska, coś jedli, poza tym - ciemność. Nareszcie mąż krzyczy: Muszka, Muszak - usłyszałam, poszłam za głosem i znaleźliśmy się. Położyliśmy koc na jakiejś słomie i zasnęliśmy. Nad ranem deszcz lunął. Budzimy się o świcie, patrzymy - a my na kupie gnoju leżymy! Wszystko przemokło, śmierdziało, ale na szczęście na tym ostrym słońcu szybko wyschło. Jak dojeżdżaliśmy na to miejsce postoju, to jakiś życzliwy Kazak krzyczy: "Janek wrócił". Te rzeczy, które miał przy sobie, ukradli mu na jakiejś stacji - jeszcze przed zatrzymaniem. Zostało tylko to, co miał na sobie. Ale ja byłam szczęśliwa, że wrócił.

Potem już na wypasach nie byliśmy, tylko paśliśmy bydło z innymi Polakami na fermie.

Na wiosnę 41 r. ^{ok} Janek znowu dostał 3 lata. Był już wtedy pełnoletni - skończył 18 lat. Pojechał na zasiewy - jeździł tam traktorem, orał ziemię. Raptem zabrakło mu benzyny do traktorów, więc zarządca kazał mu gdzieś jechać po benzynę: "Weź jak najlepsze byki ze stajni i jedź jak najszybciej, bo zasiewy musimy robić". Więc Janek wziął jakies byki / (woły), wrócił z ~~ty~~ benzyną, a oni do niego z awanturą: "Pod sąd cię weźmiemy, najlepsze byki wzięłeś, byki od zasiewu wzięłeś". Janek się tłumaczy, że się nie zna na bykach, nie wiedział, że to są od zasiewów. Zaczął dalej pracować, a po kilku dniach zaziębił się widocznie, dostał silnej gorączki, okazało się - zapalenie płuc. Uważali, że symuluje i grozili, że jak nie wyjdzie do pracy, to mu nie dadzą chleba i wtedy pędko wyzdrowieje. Nie dali mu chleba, nie dali mu jesć. Termometrów oczywiście nie było. /Oni nawet nie wiedzieli co to jest gorączka: jedna kobieta poszła do lekarza, wraca, spotyka ją zarządca fermy i pyta co jej jest. Odpowiada, że ma temperaturę... - "A kto tobie pozwolił temperaturę mieć?"

42

Janek wtedy znalazł jakiś wóz i przyjechał do mnie: "Mamo, co ja mam robić?" Przede wszystkim zaważałam lekarkę, która stwierdziła zapalenie płuc. Po aspirynie, której trochę miałam, gorączka zaczęła ustępować. Po ^{dwóch} dniach - spadła, więc zaczęłam namawiać Janka, żeby wrócił na te zasiewy, bo go znowu wsadzą. Odpowiedział: "Mamo, oni mnie i tak wsadzą, bo ten zarządca już mi spisał protokół za te byki". Namawiałam go dalej, żeby wrócił, bo jeszcze go oskarżą, że uciekł z pracy, no więc pojechał. Ale Janek był lekkomyślny. Wiedział, że nie zajdzie, bo to daleko, więc wziął konia z fermy i pojechał ...~~xxx~~ zamiast tam, to do Pawłodaru! Przed Pawłodarem puścił konia, koń wrócił z powrotem sam na fermę, a on pojechał sobie - do Polski! A mówiliśmy przedtem o tym, bo Krzysio mi powiedział: "Mamo, Janek się umawiał razem z Olkiem, że pojedą do Polski". Powiedziałam Krzysiovi, żeby ~~mi~~ nie mówił Jankowi, że mi ^{to} ~~o~~-tym powtórzył bo będzie miał żal do niego, ale z Jankiem porozmawiałam - jak sobie to wyobraża? - tyle kilometrów, o głodzie i chłodzie. A on mówi: "Mamo, wcale o tym nie myślę, może z kims o tym rozmawiałem, ale przecież najp^{ierw} musiałbym się dobrze ruskiego nauczyć. Jak ruskiego nie umiem, to od razu poznają, że jestem Polak". - No więc ja uważałam, że chłopak rzeczywiście poważnie myśli. Okazało się jednak, że chciał do Polski uciekać i dostał 3 czy 5 lat - przypisali mu "polityczną ucieczkę".
x ^{Janek} Wyszedł z amnestii na jesieni 41r. - po umowie z Sikorskim. Nas już w Pawłodarze nie było, on nie wiedział, gdzie my jesteśmy, a z więzienia wyszedł z gruźlicą. Zaopiekowała się nim polska ambasada, skierowali go do szpitala w Pawłodarze. Leżał tam 3 miesiące, założyli mu odnę. A ja nie wiedziałam, gdzie on jest. Od nas zaczęli wyjeżdżać Polacy na wschód - do Taszkentu, więc prosiłam - może ktoś się czegoś dowie. I dostałam list od jednej znajomej, która mi doniosła, że Janek jest w szpitalu w Pawłodarze na oddziale gruźliczym. Wysłałam tam telegram z pytaniem, czy rzeczywiście tam jest. Dostałam odpowiedź, że jest i podali adres. Wtedy napisałam do niego; nie wiedziałam, jaki jest jego stan, coś tam sprzedałam i posłałam mu pieniądze. Dostał je i przyjechał do domu - wypisał się na własną odpowiedzialność i z założoną odną przyjechał do Jesilu /bo tam już wtedy byliśmy/. A ponieważ tam powietrze jest zdrowe, więc się wyleczył i potem już nie chorował.

Z Krzysiem też były zmartwienia. Jak byłam w więzieniu /początek 41r./, to mąż dostał paczkę z Tarnopola i trzeba było ją przywieźć. Zawsze przywoził nam paczki ten Niemiec (o którym ^{41s pom. na} mówiłam), ale wtedy nie mógł i zaproponował Krzysiovi, żeby pojechał razem z jednym Kazakiem, który tam jedzie po pożywienie dla bydła. Krzysiu pojechał - w studenckim płaszczu, w cienkich bucikach - saniami. Zaczęła się burza śnieżna i zabłądzili w stepie. Już późną nocą Kazak powiedział, że dalej nie będą jechać, zagrzebią się w sianie, przespia i przynajmniej

nie zmarzną. Wepchnęli się do tego siana, ale Kazak był w kożuchu, w walonkach i watowanych spodniach, a Krzys - cienko ubrany - zamarznął. Wyciągnęli go rano już nieprzytomnego - Kazak odwiózł go najpierw na pocztę, poczmistrz zadzwonił zaraz do szpitala, żeby ktoś przyjechał. Zaczęli go nacierać śniegiem, ocucili, ale cała noga była odmrożona - w pęcherzach. Zabrali go do szpitala w Pawłodarze, tam go odratowali i skończyło się na tym, że tylko palec mu ucięli.

Naturalnie z tej całej paczki - prawie 100-kilogramowej - ani trzecia część nie doszła do nas, bo to wszystko się "rozsypano" po drodze (ktoś inny sobie zabrał, nam tylko trochę zostawili).

Jak byliśmy koło Pawłodaru to paczki i listy przychodziły, ale ~~były~~ bardzo długo szły. Wszystko się skończyło, jak Niemcy zajęli Tarnopol.

W czerwcu 41r. - jak zaczęła się wojna niemiecko-sowiecka - wywieźli nas aż pod Akmolnińsk (tylko mnie i męża, bo Janek jeszcze siedział a Krzys był w szpitalu). Tam pracowaliśmy przy linii kolejowej. Było o tyle lepiej, że była stołówka i dostawaliśmy codziennie chleb. Ale praca była ciężka - przy naprawie starej linii kolejowej, którą na front dostarczali węgiel z Karagandy - bardzo więc o tę linię dbali. A z sowchozu wyjechali już sami inwalidzi: ja jeszcze przed wyjazdem dostałam malarii, która stale powracała i nie mogłam pracować, mąż miał tak odmrożone palce u nóg, że bucików nie mógł ubrać.

A pod Akmolnińskiem - to było czyste pole i tor kolejowy. Trzeba więc było budować sobie domki: cięło się darń i składało się z niej "dom", który się przykrywało plandeką. W lecie to można było wytrzymać, ale ~~my~~ myśmy tam aż do Bożego Narodzenia byli! Gotowało się na dwóch kamieniach: rozpalało się między nimi ogień, stawiało się garnek - i już. Tam się wszędzie tak gotowało.)

Było tam ze 40-50 (rodzin) polskich. Stosunki były bardzo dobre, wszyscy się zjednoczyli i dobrze się układało. Trochę było też Żydów i z nimi były awantury. Z nami mieszkała taka żydowska rodzina (która przedtem mieszkała z Anusią w cieletniku) - oni się ciągle awanturowali.

Dowozili tam chleb, ale jak był śnieg, to nie dowieźli i był "post". Po wodę chodziło się do źródła - do bardzo głębokiej jamy, do której spuszczało się na sznurze wiadro i zaczerpywało wodę. Jak przyszedł mróz, to robiła się tam taka góra lodowa, więc jak się wtedy brało wodę, to trzeba było klasć się na brzuchu / bo inaczej wleciałoby się do środka/, potem ^{uży}ywało się na brzuchu na krawędź jamy i dopiero spuszczało wiadro. To było straszne! Zawsze jak syn proponował, że pójdźme po wodę, to ja sama szłam, bo się bałam o niego: miał jeszcze nie zagojoną tę odmrożoną nogę (jeszcze jak do Anglii pojechał, to mu się nie goiło).

~~/Według informacji przyjaciel - Krzysiewi w Anglii amputowali całą stopę
o czym matka do dziś nie wie - przyp. red./.~~

Ubrań żadnych tam nie dostawaliśmy. Dopiero później, jak była umowa z Sikorskim /już wtedy byliśmy w Jesilu/, to przychodziły paczki amerykańskie i od czasu do czasu coś się dostawało.

Przy tej linii kolejowej byliśmy od czerwca do grudnia 41 r. Na ~~xxx~~ samą Wigilię dopiero przenieśli nas do Akmolińska, gdzie też pracowaliśmy przy linii kolejowej. Kazali nam tam kopać ziemię do podsypywania torów, podjeżdżały wagony i trzeba było tę ziemię na nie wrzucać. Z początku, jak chciałam tę ziemię wrzucić na wagon, to na mnie wszystko leciało - nie umiałam tego robić. Ale jakoś się robiło. Nieraz było tak, że cały dzień tę ziemię "gruziliśmy", a później wieczorem jak przyszliśmy do domu, to okazywało się, że pociąg "z kamieniem" przyjechał i trzeba było ~~te~~ kamienie wyładowywać. I tak całą noc wyładowywaliśmy ~~te~~ kamienie - z takich wywrotek. Trzeba było umieć na nich stawać, bo się przechylały i można było z kamieniami wylecieć, a kamienie olbrzymie były. Norm nie było, chociaż przy kopaniu ziemi jakiś nadzorca mierzył, ile metrów tej ziemi miało być, ale to się nie dało zrobić, bo przecież upał był - czterdzieści kilka stopni. Trochę wymyślali, ale nic... Jedzenia nie było, tylko dostawaliśmy coś w stołówce. Zapowiadali, że będziemy mieć płacone: jeden spisywał - ile kto zrobił, prowadził kalkulację, ale jak przyszło do zapłaty, to: "nie ma pieniędzy". Więc zbuntowaliśmy się i powiedzieliśmy, że nie idziemy do pracy, jak nie ma pieniędzy. Nawet nie mieliśmy chleba za co kupić. Więc dali nam 5 rubli zaliczki i na tym się skończyło. Znowu nie było pieniędzy, bo nie przyjechał kasjer. Za okres od czerwca do września - nie wiem, czy dostaliśmy ze 100 rubli. Mówili: "przecież wyście wybrali zapłatę zaliczkami" - chyba ktoś kradł te pieniądze....

We wrześniu przewieźli nas do Jesilu. Mieszkałiśmy tam już w gotowych barakach. Niektóre były drewniane, inne - kopane w ziemi. Przez Jesil przebiegała linia kolejowa Akmolińsk - Karaganda i niektórzy pracowali przy tej linii, zwłaszcza tam, gdzie parowozy biorą wodę - żeby parowóz nie zamarznął, to musiało się kopać ziemię, żeby parowóz nie przyamarznął do torów /?/. Po umowie z Sikorskim zaczęła się pomoc amerykańska. Powstały delegatury rządu polskiego i zaczęli się pojawiać więźniowie z różnych stron - jechali do Taszkentu. Stosunki się wtedy radykalnie zmieniły. Zaczęło się też dożywianie dzieci - ja przy tym pracowałam. Zaczęto zwalniać ludzi z amnestii, ale z zastrzeżeniem, że musiał podpisać oświadczenie, że wstąpi do wojska /wtedy tworzona była armia Andersa/. Janek napisał bez mojej wiedzy do polskiej delegatury w Taszkencie /zdał się/, że chce iść do armii i czy może wziąć ze sobą niepełnoletniego brata.

Dostał odpowiedź, żeby przyjeżdżali. Pojechali obaj w lutym 42r. A Krzys jeszcze chodzić dobrze nie mógł, bo ten palec ciągle mu ropiał i strasznie wycieńczony był, bo po szpitalu jeszcze bardzo chorował. (miał wtedy 16 lat). Dostałam od nich wiadomość dopiero po kilku miesiącach. Do tego czasu nie wiedziałam, co się z nimi dzieje. Janek wyjechał za granicę w kwietniu, a Krzys dopiero w czerwcu, bo w Taszkencie zachorował i znów go wzięli do szpitala. Dostałam wtedy od Krzysia list, że ma papiery wyrobione, ale do wojska go nie przyjęli, więc wraca z powrotem. I później czekam, lipiec, sierpień, Krzysia nie ma i nie ma I tak codziennie czekam - i nie ma.... Później dostałam list od niego, że miał już wracać do domu (tj. do Jesilu), ale papiery mu wszystkie ukradli i zamknęli go (zaaresztowali) - do zidentyfikowania. Siedział w Taszkencie, ale ponieważ miał znajomych, więc potwierdzili jego tożsamość i nie długo go puścili. W delegaturze namówili go, żeby nie wracał do Jesilu - na głód i chłód /"nie pojechałeś z wojskiem, to pojedziesz z delegaturą"/ - i zabrali go ze sobą.

/Potem obaj cłkopy walczyli pod Monte Cassino, Janek był ciężko ranny. Z Włoch pojechali do Anglii, gdzie mieszkają do dziś. Janek odwiedził kilka razy Polskę, Krzys nie był w kraju ani razu. Matka ich ~~raz~~ odwiedziła, ale mimo namów nie chciała zostać z synami w Anglii i wróciła do Polski. Od kilku lat dzieci nie widziała. Dochowała się już wnuków i prawnuków - przyp. red./.

A myśmy tymczasem mieszkali w baraku w Jesilu. Mąż pracował jako stróż nocny, a ja pracowałam bezpłatnie przy dożywianiu dzieci. Do żadnej innej pracy nie mogłam się zgłosić, bo ciągle wracała malaria, zwłaszcza w zimie: jak tylko zaczynał się mróz - od razu atak malarii. Chodziłam też po kołchozie, bielłam chałupy, dostałam za to kilo pszenicy, mleka trochę i tym się ratowałam. A mąż dostawał coś w stołówce i kartki chlebowe: dla siebie 600kg chleba dziennie i dla mnie - 300kg. Potem dwa razy miałam "kurzą ślepotę".

W Jesilu mąż Y (i trochę ja) pracował jakiś czas z panią M. / ^{atackowala} mamą Anusi/. Ona strasznie biedna była: czworo dzieci - ~~to jest okropne / zły~~ - a ona sama jedna pracowała. Była tam taka stołówka, w której Kazacy ^{chowali} jedali, ona tam chodziła i jak ktoś zostawił coś na talerzu, to ona zbierała te resztki i tym dzieci karmiła. Ja mówię: "Pani M..., czy pani się nie boi jakiejś choroby, jakiegoś zakażenia?" Ale ona powiedziała: "Ja to przegotowuję. Co zrobić, czym karmić te dzieci?". Jakiś czas w Jesilu mieszkaliśmy w jednym baraku, a później znów rozeszliśmy się jakos i byliśmy w innych barakach. Ale mąż i dziewczęta, które ze mną mieszkaly - pracowali z nią. I żadnej pomocy nie miała.....

10
x
andy
Jak była amnestia, to przyjechał fotograf, żeby nam zrobić zdjęcia - mieliśmy dostać nowe paszporty, bo mamy wyjechać do Polski. Paszporty były rosyjskie, ale było na nich zaznaczone, że byli to Polacy repatriowani. Mieliśmy więc dostać nowe paszporty, wszystko się przygotowywało, robili spisy, ale później została zerwana umowa z Sikorskim i wszystko ucichło. W tym czasie mieliśmy udogodnienia, węgiel nam dostarczano do baraków - to dużo znaczyło, bo przecież w ogóle w te mrozy nie było czym palić, paliło się tym, co się ukradło. To oczekiwanie i nadzieja urwały się na jesieni 42r. - jak armia Andersa wyjechała.

Wiadomości do nas nie dochodziły - Kazachowie sami nie mieli żadnych. Gazety się brało na bibułki do papierosów. Od czasu do czasu coś do nas docierało o przebiegu wojny i co się dzieje - ale mało tego było. Żylismy już potem samą nadzieją, że jak się wojna skończy, to muszą coś z nami zrobić.

W 42r. mieszkalismy w takim dużym baraku. Dawali wtedy węgiel, były kuchenki, na których można było gotować. Ktoś postawił piecyk żelazny - akurat koło mojego łóżka. Jeszcze jak Janek był, to ~~on~~ tak napalił, że ten piec czasem był cały czerwony i bałam się, że barak się zapali. Janek wtedy odpowiadał: " a niech się spali, a co to - twoje?". I jak chłopcy wyjechali w lutym, to akurat - na samo Zwiastowanie - barak się zapalił. I to niespodziewanie: ja spałam, a sąsiadka leżąca na drugim łóżku mówi, że coś w szparach między deskami się żarzy, może to się pali. Otwieram oczy - rzeczywiście, żar na deskach i kominie. Naturalnie wszyscy się zerwali, mężczyźni poszli na dach, żeby zasypać śniegiem. Ale wszystko było zlodowaciałe, nie można się było dostać do tych żarzących się desek. Więc zaczęli od ściany przebijać się do komina. Zaczęliśmy szukać wody. Ja narzuciłam na siebie tylko futro (nawet majtek nie miałam, tylko sukienkę, bo w sukience się spało) i poleciałam z wiadrzem do studni. Zanim wróciłam z wodą, to już wszystko stało w płomieniach - jak sąsiad przebił ścianę, to płomień buchnął na barak. Od razu moje łóżko spłonęło i nic się nie uratowało - nic kompletnie. Kartki chlebowe się spaliły, pieniądze, ubrania, pościel. Ale na szczęście, z drugiej strony (pod wiatr) coś ludzie jeszcze powyciągali. Przyjechała miejscowa straż pożarna i zaczęła hakami wyciągać różne rzeczy - trochę się ludziom uratowało. Ale matki tak straciły rozum, że jedna, która miała dziecko chore na odrę - zostawiła je gołe, tylko w koszulce (na środku) ~~baraku~~. A to było maleństwo - 2-3 lata. Jak przyszłam z ~~ty~~ wodą i je zobaczyłam, to zawinęłam je w koc, poleciałam do drugiego baraku i kazałam się nim opiekować, bo nie wiedziałam, czy matka się zgubiła, czy coś się stało. Matka po pewnym czasie przyleciała - co z moim dzieckiem? - więc jej opowiedziałam.

Ponieważ mnie się nic nie uratowało, a z delegatury przyszły jakieś dary, więc wszyscy mówili, żeby pani Samborowej dać /piącz/ - przede wszystkim koce. Był problem - gdzie nocować, bo wszystko było zajęte. Postanowiliśmy iść z mężem do p. Niegodzińskiej, która miała taki mały pokój, w którym mieszkało kilka osób, ale było względnie luźno. Miałam nadzieję, że nas przyjmą i przynajmniej będzie ciepło... Poszliśmy do niej - kawał drogi - a była okropna wichura i burza śnieżna. Stanęliśmy po tych drzwiach i powiedziałam do męża: "Wiesz, co, jak nas nie przyjmą, jak trzeba będzie wracać, to ja już zostanę tutaj" /piącz/. Ale ona nas przyjęła - "dobrze, żeście przyszli" - dały z sąsiadką swoje kożuchy i tak przespaliśmy tę noc. Na drugą noc wróciliśmy na swoje miejsce. Sąsiadka, której się coś uratowało, zaproponowała nocleg i dała kożuch - taki co się daje na sanie. Pod tym kożuchem spaliliśmy z mężem kilka dni. Jedni nam dali kawałek chleba, drudzy coś innego - i tak jakoś poszło. Nowych kartek na chleb nie dali. Mieszkanie tylko przydzielili w małym budyńeczku poczty - ziemiance. Ale ciepło tam było. Mieszkaliśmy tam z jeszcze innymi rodzinami: z p. Palczewską z dwiema córkami i jeszcze jedną panią. Była tam kuchenka, ale po zerwaniu umowy z Sikorskim węgla już nie dawali, więc jak ktoś szedł do pracy, to gdzieś ukradł, żeby tylko można było coś ugotować ciepłego.

W Jesilu szkoły polskiej nie było, a do ruskiej nikt nie chciał dzieci posyłać. Ja próbowałam uczyć dzieci - z pamięci, bo żadnych książek nie było - czytać i pisać i żeby umiały rachować - same podstawy. Pisaliśmy na gazecie, jakimiś ołówkami, czy nawet, ^{czasem,} był atrament... Na gazecie nawet listy pisaliśmy. Poza tym dziećmi zajmowały się matki.

Później, mąż jeszcze pracował trochę jako stróż przy jakichś magazynach, ale już ledwo chodził, bo był tak wyczerpany /mężczyzna się jakoś szybciej wykańcza/. Ja nie pracowałam. Jedliśmy przeważnie zacierki z mąki razowej na wodzie, a czasem i tego nie było. A ja miałam taki wstręt do tego, że nie mogłam już ani jeść, ani patrzeć na to. Zaczęłam chorować na biegunki głodowe. Po takich biegunkach człowiek pucnął - i kończyło się... Wtedy mieszkała ze mną jedna pani i z darów amerykańskich dostałam bardzo ładny szlafrok - moherowy, różowy - gdzie miałam w takim szlafroku chodzić? /śmiech/. Więc ta pani wzięła szlafrok do jakiegoś kołchozu i zamieniła na pud kartofli i kilo masła. Miałyśmy nadzieję, że może zmiana pożywienia mi pomoże, bo patrzeć nie mogłam na tę zacierkę ani na chleb - wszędzie czułam otręby. Zrobiłam sobie purée z ziemniaków i masła - zwymiotowałam, żołądek nie przyjął. Miałam przedtem żółtaczkę /po malarii/, więc może wątroba była podrażniona. Później gotowałam sobie zupę kartoflaną i jakoś ta biegunka mi przeszła. Spucnąłam potem trochę, ale to jakoś też przeszło.

Często przyjeżdżali z innych miejscowości po ludzi do pracy, czyli tzw. kontygent ludzki. Przy tej okazji pozbywano się ludzi, którzy prawie nikt nie mogli pracować - i wysyłano ich gdzie indziej. W 43 r. skorzystali z tego zarządcy naszego kolchozu i tych, którzy już nie nadawali się do pracy, wysłali do Atbasaru. W tej grupie byliśmy my, rodzina Małachowskich /już po śmierci Tadzia, Jadwisi i babci/ i inni tacy inwalidzi. Poza tym w desilu byliśmy na rozjazdach, a ponieważ zima się zbliżała, więc likwidowali rozjazdy i mieli za dużo ludzi - słabszych przędzucali gdzie indziej, a zdrowszych zostawiali w sobie. W Atbasarze Brygadier, który nas przyjmował, zdenerwował się, że mu przysłali samych inwalidów; co on będzie z nimi robić?

W Atbasarze Stas M. starał się ^{o pracę}, ale ponieważ nie miał jeszcze 14 lat, więc ^{o akt wydziału} sobie w paszporcie przerobił - z jedynki zrobił zero - i poszedł do pracy. Mój mąż też zaczął pracować, ja - nie. Mama Ani była fizycznie wyczerpana, chorowała bardzo jeszcze w desilu - dostawała jakieś pęcherze wodne na nodze. Była jeszcze chora na serce, leżała długo w szpitalu. Ja w ogóle nie wiem, jak ta kobieta mogła pracować na takim mrozie, miała tylko jakąś spódniczkę i żakiet. ^W No i przy tym wygłodzeniu i słabym sercu - zmarła w szpitalu na serce - na samą Wigilię 42r. Mój mąż też był wtedy w szpitalu...

W Atbasarze były lepsze warunki i baraki drewniane. W jednym baraku mieszkało po ~~kilkadziesiąt~~ kilkanaście rodzin, żadnych przepierzeń nie było. Do oświetlania służyły kagenki naftowe: brało się buteleczkę, wlewało do niej naftę, na to korek i przez korek przepychało się jakiś knot /przeważnie kawałek sznurka/ i to się tak kopcilo. Mąż pracował jako stróż przy magazynach i chodził czasem grzać się do pobliskiej piekarni. Różnie pracował w parowozowni - woził węgiel na wózkach do parowozów.

O Związku Patriotów Polskich mało się mówiło - ludzie raczej zajmowali się swoimi sprawami, o niczym się nie wiedziało. Od czasu do czasu ktoś przyjeżdżał i coś mówił, agitował: "Zapiszcie się do Związku Patriotów Polskich. Nie będziemy jechać do Polski jak te gęsi, tylko trzeba się zjednoczyć". Agitowali przeważnie Żydzi, którzy przyjechali do Rosji już w czasie wojny - w 42 czy 43 roku. Nazywali się Winnica i Pszenica. Niektórzy zapisywali się do ZPP /może się bali, że do Polski nie wrócą, albo się chcieli podliznąć/, ale mało było takich. To oczywiście żadnego powrotu do Polski nie ułatwiło - jak wyjeżdżaliśmy, to nikt się nie pytał, czy ktoś do związku należy, czy nie.

W Atbasarze byliśmy do końca 42r., ^{konca} przez 43, 44 i 45 rok. Im dłużej wojna trwała - tym było gorzej. Z Europy nic nie dowieźli, a tam rosła się tylko pszenica, i to nie była odpowiednio zagospodarowana - żeby mogła więcej rodzić. W końcu i ta pszenica się kończyła, bo oni nie dbali o żniwa, pszenica była mała, a jak rosła zanisko, to kombajn jej

nie skosił. Zostawiali ją więc na polu, chociaż kłosa były ładne. Po żniwach chodziliśmy więc często na kłosa; nie wolno było, ale jakoś tolerancyjnie patrzyli na to. Z worka kłosów było kilo, najwyżej 2 kg pszenicy.

A jak jechały wozy z pszenicą i posypało się z niego trochę ziarenek, to myśmy te ziarenka zbierali. Zebrało się pół szklanki i w tryumfie przychodziło się z tym do domu. Były także okresy - w 43 czy 44 r., w których przez dobrych kilka miesięcy żyliśmy tylko z 30 dkg chleba, które mąż dostawał dla mnie, i jedną porcją zupy ze stołówki (to była zabarwiona woda z listkami kapusty). I tym we dwojkę żyliśmy kilka miesięcy - nic więcej....

Mąż cały czas chorował, miał odmrożone nogi, chcieli mu amputować, nie zgodził się i jakoś mu się to zagoiło.... Mąż zmarł w maju 43 r. - na ogólną awitaminozę, czyli cynkę. Miał rany na całym ciele, przedtem miał astmę, potem się zaziębił. Jak przyszła lekarka, to powiedziała, że to gruźlica kości, ale to nie była gruźlica, bo nigdy na nią nie chorował i skąd by się wzięła? Był to już starszy człowiek - 52 lata miał, jak zmarł. Później lekarz, który potwierdził zgon, coś napisał po rusku, nawet nie wiem co. Ale było to wycieńczenie....

21
No 2 w. 56
11

W Atbasarze był sierociniec, który Rosjanie utworzyli - nie wiem po co, może żeby wzruszyć te dzieci, albo pokazać jak się nimi opiekują? I tam nasze panie - przeważnie ^{z inteligencji} inteligentne - zaczęły pracować jako nauczycielki, ^{uszyko wawozu} i t.p. Przychodziły do mnie i strasznie mnie namawiały do pracy w tym sierocinca, ale ja nie chciałam, ~~i byłam chora~~.

71

W grudniu 43 r. spotkałam w stołówce p. Jankę - ciocię Ani, która mi powiedziała o śmierci pani M. ^{awachowickiej} Poszłam na pogrzeb matki Anusi, wstąpiłam jeszcze do męża, który był wtedy w szpitalu. Był straszny mróz, a cmentarz daleko od ich baraku (~~mój barak był bliżej~~). Koło szpitala była ~~taka~~ komórka, ^{de} której zwłoki tak po prostu rzucili, zupełnie nagie - rozłożone ręce, oczy wytrzeszczone, usta otwarte - wrażenie straszne było. Dzieci to widziały.... Pani Janka tylko ją przykryła, nie można było ubrać, bo to wszystko zmarznięte na kość /mróz był 40°. Ledwie ją do trumny włożyli, ręce ścisnęli.... pewnie się połamały. Przykryliśmy ją koszulą i tak pochowali. Ąsiędza żadnego nie było. Potem zaproponowałam, że wezmę do siebie dzieci, tak strasznie zmarzły, bałam się, żeby się nie przeziębili. P. Janka wracając z cmentarza wstąpiła do mnie i zabrała dzieci....

52

Na wiosnę 44 r. zmarła p. Janka ^{Matachowskiej} (~~mąż jeszcze żył~~). Po śmierci cioci poszłam do Stasia /był to roztrzepany ale mądry chłopak/ i mówię: "Nie wiadomo między jakimi ludźmi tu jesteście, nie wiadomo jak się będą wobec was zachowywać, różnie może być" - a mieszkali tam ludzie raczej mało inteligentni, ze wsi - "przeprowadźcie się do mnie, ja się wami zaopiekuję, niewiele wam dam, bo sama nic nie mam, ale przynajmniej jakąś opiekę, jakąś radę. Przecież Anusia taka mała jest. Ty pracujesz, a ja się nią zaopiekuję" - i Staś się zgodził. Oni się już wtedy przyzwyczaili do mnie.

56

+ Maria Sambowida

~~Wtedy nasze panie, które organizowały ten sierociniec, zaczęły mnie namawiać, żebym dzieci oddała do sierocińca (bo one koniecznie chciały mieć Małachowskich w sierocińcu).~~ ^{Po wojnie Anusia i Stan}
 Wtedy nasze panie, które organizowały ten sierociniec, zaczęły mnie namawiać, żebym dzieci oddała do sierocińca (bo one koniecznie chciały mieć Małachowskich w sierocińcu). Była tam taka pani Rzeczkowska, ona też mnie namawiała: "Niech pani odda, przecież pani nie jest w stanie dziećmi się zająć". Odpowiadałam, że jeść im nie dam, bo sama nie mam, ale jakieś ich rzeczy, które zostały, spieniężę i będę im coś kupować. Kupowałam tylko dla nich - żeby ludzie nie powiedzieli, że ja ich wykorzystuję, nawet gotowałam osobno dla siebie, a osobno dla nich. Zawsze się rozliczałam ze Stasiem z pieniędzy - na co wydałam, bo ludzie różnie mówili. ~~Ja nie czys- te sumienie...~~ "A pani z sierocińca powiedziała ^{mi kiedyś} nawet: "Przecież ludzie mówią, że pani ich wykorzystuje, bo pani nie pracuje" - a ja wtedy szłam i z szycia więcej zarabiałam niż z tej "pracy".

Personel w sierocińcu składał się, zdaje się, z ochotniczek, ale protegowanych ~~przez władze NWD? - przyp. red.~~, bo miały takie "chody", że się tam wkręciły. Jedna tylko pani (inteligentna, zdaje się, dziewczynka) przyszła i ^{zapytała}, dlaczego ja nie chcę dać dzieci do sierocińca. Odpowiedziałam, że dzieci przyzwyczały się do mnie i dobrze się tu czują, a w sierocińcu są różne dzieci i nie wiadomo, czy by się z nimi zżyły. Przekonywała mnie jeszcze, że tam by miały co jeść, ale ja starałam się w miarę możliwości, ^{u mnie też} żeby miały. Wtedy ona odpowiedziała: "Ma pani rację, pani się dwojgiem ~~zapracuje~~ może lepiej zaopiekować, jak w sierocińcu".

Razem mieszkaliśmy prawie dwa lata i Anusię w końcu zabrali w 45 r. do sierocińca. Zgodziłam się, bo już tak krucho było, że oni nie mieli co jeść. Staś co prawda zarabiał /był zdolny i sprytny/ - pracował jako spawacz, dawali go na najgorsze odcinki. Zarabiał nawet dobrze, dostał kozuch kupił sobie walonki /od jakiegoś Niemca/. Ale jedzenia nie można było kupić - to był koniec wojny. Anusia nie bardzo chciała iść do sierocińca, ale Staś widział, że ona głoduje i żal mu było... Jedna pani dała swego syna (matki też oddawały tam swoje dzieci), przychodziła ciągle i opowiadała: dzisiaj pączki mieli, dzisiaj bliny mieli - a tu dzieci głodne. W końcu Staś namówił Anusię, żeby poszła do sierocińca - przynajmniej będzie miała co jeść. I ja się w końcu zgodziłam. Jak na złość, dzień po jej pójściu do sierocińca dostaliśmy pieniądze od ich ciotki z Tarnopola. Kupiłam zaraz mąkę i było co jeść. Strasznie żałowałam, że ją oddałam, ale miałam nadzieję, że może nie będzie to długo trwało, bo wojna się kończy. Codziennie chodziłam do Anusi, ale później zakazali przychodzić do sierocińca - nawet matkom ~~zakazy~~ (żeby za dużo ludzie nie wiedzieli, jak oni postępują z dziećmi). A była tam ta pani Rzeczkowska, która mogła mieć dla nas jakieś względy, albo walczyć o to, żeby przynajmniej matkom pozwolono się z dziećmi widywać, bo dzieci za matkami tęskniły. Pani Rz. przed wojną pracowała na pensji, do której chodziła matka i ciotka Ani, więc znała dobrze tę rodzinę. ~~XXXX~~

W sierocińcu dzieci, które nie chodziły do szkoły, posyłali na zbieranie kiziaku, żeby było czym palić. Palili w kuchni. Był jeden pokój, w którym dzieci spały - nie wiem w jakich warunkach. Mokra rzecz kładli na piec, żeby wyschły, smród był, duszno. Do jedzenia coś im dawali - mieli jakieś przydziały. Raz dzieci dostały nawet cukierki /pół czy ćwierć kilo na dziecko/. Ale nawet tą niewielką ilością kazano im się podzielić z "dziewcami szkolnymi" /rodyjskimi/, bo one nie dostały. Więc zabrali z powrotem te cukierki, a komu dali - nie wiadomo. Poza tym chleb dawali i żupy gorące.

Jak nie mogłam się już widywać z Anusią w sierocińcu, to umawiałam się z nią gdzieś na stepie, jak chodziła do lekarza /miała chore oczy po jaglicy, dopiero w sierocińcu zaczęła te oczy leczyć/. Wtedy porozmawiałyśmy sobie, jak coś miałam, to jej przyniosłam - zawsze coś jeszcze chętnie zjadła. Jak przestała chodzić do lekarza, to znowu przestałyśmy się widywać.

..... Jedna pani za baraku pracowała na dworcu kolejowym /była sprzątaczką/ i miała chody u kasjerki, więc jak kierowniczką sierocińca potrzebowała jakiś bilet, to posyłała kogoś do tej pani, żeby jej kupiła. Jednego razu przysłała Anusię; zima była, ponad 40° mrozu, burze śnieżna, wiatr, śnieg taki, że na krok nic nie było widać - i ona przysłała to dziecko, żeby p. Irena kupiła jej bilet do Akmolińska. P. Irena powiedziała, że kupi ten bilet, ale ja Anusi nie chciałam z powrotem puścić do sierocińca. Dziecko zaczęło płakać, że musi iść, bo pani będzie się gniewać. Odpowiedziałam, że ja sobie z tym poradzę. Była przemarznięta, w lekkich pończoszках, w lekkich bucikach i w lekkim płaszczyku. I została na noc w baraku. Jak tylko zaświtało, przyleciała jedna z nauczycielek, siada na łóżku, ściąga z siebie grube, bawełniane pończochy i daje Anusi. A ja jej powiedziałam kilka słów na ten temat, że dziecko wieczorem puszcza się samo na taką pogodę - i jeszcze miała wracać w czasie burzy śnieżnej?!

Anusia narzekała na sierociniec. Opowiadała, że raz, po położeniu się do łóżek, dzieci jeszcze chichotały i rozmawiały - jak to dzieci. Nauczycielka się zezłościła i kazała Anusi wstać i kęczyć koło łóżka. /A w baraku było zimno. Ona klęczała i płakała, a tymczasem nauczycielka zasnęła. Dopiero, jak się zorientowała (Ania), że tamta śpi, to weszła do łóżka i zasnęła. Później jeszcze kilka (scen takich) było - opowiedziała mi o nich, dopiero jak wróciła na stałe z sierocińca. Marano dzieci za byle co. Np. chciano dzieciom obciąć włosy do skóry, bo wszy mają. Anusia zaczęła płakać, że sobie nie da obciąć. A ja już wtedy chciałam ją stamtąd zabrać. Bałam się jednak sama za to odpowiadać, bo nie wiedziałam, jakie oni tam mają powiązania z NKWD. Mówię więc do Stasia: "Zabierzemy Anusię do domu. Pójdź do niej, przyprowadź ją tutaj i zostanie. Nie puścimy jej więcej". - Stasiowi w to graj! Zaplanował ucieczkę i razem z Anusią wrócił do domu. Potem powiedzieli, że Staś wykradł Anusię z sierocińca. Mieli do mnie pretensję, ale ja tłumaczyłam, że płakała, skarżyła się przed Stasiem i on ją wykradł.

71 Kazali Stasiowi przyjść do sierocińca na pogawędkę i Staś poszedł do kierowniczk. Nie wiem, o czym rozmawiali, ale kierowniczka potem powiedziała: "Wie pani, Staś to jest jak dorosły człowiek, on mnie zaskakiwał swoimi odpowiedziami"... Namawiali nas jeszcze jakiś czas, żeby Anusia wróciła, ale już została u mnie do końca.

77 W 46r. zaczęło się wyrabianie papierów na wyjazd do Polski. Oni oboje byli wpisani na paszport matki. Jak matka zmarła, ciotka musiała oddać jej paszport i przepisała dzieci na swój. A po śmierci ciotki - paszport gdzieś się zawieruszył i ja nawet nie wiedziałam, że on w ogóle jest. Dopiero przed wyjazdem, kiedy zastanawiałam się, jak ich wpisać do swego paszportu, dzieci mi powiedziały, że są wpisani do paszportu cioci, który się znalazł. Cały wyjazd do Polski organizowali Rosjanie /NKWD/ - po zakończeniu wojny. Wypisywaliśmy jakieś kwestionariusze, które oddawało się do NKWD. Żeby nie było trudności - wypełniłam kwestionariusz i oddałam ten paszport cioci - jako dowód, że są Polakami. A oni powiedzieli, że Anusia pojedzie z sierocińcem. Ja się uparłam, że pojedzie ze mną. Wzięłam sobie jeszcze ^{dwóch} świadków, żeby poświadczyli, że ona rzeczywiście jest z Polski - musieli zeznać, gdzie, kiedy ją poznali, w jakich okolicznościach, skąd wyzwoleni. Ja też złożyłam oświadczenie, że jako opiekunka biorę na siebie odpowiedzialność. Przychodzi karta repatriacyjna - a Anusi na niej nie ma! - Nie wpisali jej, tylko mnie i Stasia. Poszłam do NKWD, ale tam się nic nie dowiedziałam - może ją na listę z sierocińca wpisali - nie wiem. W NKWD powiedzieli, że wpisanie Anusi muszą zatwierdzić w Akmolińsku. Czekałam przeszło 2 tygodnie. Tymczasem nie wiedzieliśmy, kiedy nam podstawią transport i baliśmy się, że pozwolenie na wyjazd przyjdzie za późno. Strasznie to wtedy przeżywałam. Myślałam, że przecież dziecka nie zostawię tutaj /płacz/ tylko Stasia pošlę jak przyjdzie transport, a sama z nią zostanę. Ale na szczęście dobrze się skończyło.

(X) Przed wyjazdem do Polski władze dały nam jakieś materiały /pewno z paczek UNR-owskich/, żebyśmy mieli w czym jechać. Dostałam parę metrów materiału, zrobiłam sobie bluzkę, Stasiowi koszulę, a Anusi sukienkę. Anusia dostała flanelkę w drobnutki kwiatuszki /jak dla małych dzieci/ - z tego jej uszyłam sukienkę i w tym musiała wrócić do Polski /nie było nic innego/. Starych łachów już się nawet nie zabrało ze sobą. Anusia bardzo się cieszyła tą sukienką, ale po powrocie do Polski ciotka dała jej jakieś inne ubranie i w tej sukience nie pozwoliła chodzić - dziecko było bardzo nieszczęśliwe. / Po zakończeniu wojny nie dostawaliśmy już paczek z Polski, tylko babcia przysłała ze dwa razy ruble/ .46r.)

Wyjechaliśmy z Atbasaru w maju /13.04 dostaliśmy papiery i jakieś paszporty/, jechaliśmy 2 czy 3 tygodnie i w czerwcu przyjechaliśmy do Polski.

Przejechaliśmy przez granicę w ^{Brześciu} Terespolu w nocy. Tam nas kamieniami obrzucili - nie wiadomo kto. Dopiero rano któraś z pań wyszła z wagonu, a na stacji śpiewają "Czerwone maki pod Monte Cassino..." - pewno to byli jacyś żołnierze z AK. Spytaliśmy ich, dlaczego nas kamieniami obrzucili i tak nas powitali w Posłce? A oni myśleli, że to Żydzi jadą i pytali, czy dużo Żydów z nami przyjechało. A Żydów od razu w Terespolu odłączyli od naszego transportu, i zgromadzili osobno w jednych wagonach. Żydów powieźli na Wałbrzych, a nas gdzie indziej. Myśmy odłączyli się od transportu w Skierniewicach, bo mieliśmy adresy rodziny dzieci w Brzeżinach St. - (op. Żeromskich) - tam Dzieci odstawiłam i przyjechałam do Zielonej Góry, gdzie była siostra Kama z mamą. Druga siostra (Zofia), która była najpierw w obozie w tajgach bliżej Uralu - tam im było lepiej, bo im jeść dawano. Po umowie z Sikorskim obóz rozwiązali, syn poszedł do armii Andersa, a ona pojechała do Uzbekistanu - i tam jej było dużo gorzej. Wróciła prawie prawie w tym samym czasie co ja. Jeszcze przed powrotem do matki - wstąpiłam do cioci do Cieszyzna i tam mnie ubrali w jakieś ubrania z paczek UNR-owskich.

W czasie powrotu do Polski zapowiadali rewizję, ale nic nie było. Przeglądali tylko paszporty, żeby kogoś nie przemycono, ale można było przejechać: akurat jak była rewizja /sprawdzanie paszportów/, to ja wyszłam z wagonu i nie było mnie przy tym, a po powrocie nikt się mnie o nic nie pytał; jechałam normalnie i nikt nas już więcej nie rwidował. A tam została jedna pani z naszego baraku: p. Zosia Brzezicka /Brzezińska?/. Ona wróciła z więzienia (siedziała 5 lat) i przyjechała w 45r. - goła, bosa, tak że nawet do pracy nie mogła pójść, bo zima była. Nie wiem, jak ona sobie dawała radę, głodowała przeważnie. Czasem coś się jej dawało - jakiś płaszcz chociaż do spania. W lecie już poszła do pracy. Jak wyjeżdżaliśmy do Polski, to jej nie puścili, chociaż miała paszport. Przypuszczam, że dlatego, że 5 lat siedziała nie wiadomo za co i żeby za dużo nie powiedziała. Mówiono, że ona nie może udowodnić, że została (z Polski) wywieziona. Nie wiedziała, gdzie jest jej rodzina, męża jej też wywieźli, a ona pochodziła z Poznańskiego i nie miała łączności z rodziną. I została....

Jeśli chodzi o dzieci z sierocińca, to nie wiem, co się z nimi stało. Możliwe, że przyłączono je do innego transportu - to co Anusia mówi, to nie jest sprawdzone. Siostra moja pracowała w takim sierocińcu w Uzbekistanie i przyjechała z tymi dziećmi do Polski - odstawiła je do Gostynina, do polskiego sierocińca i tam zawiadamiano rodziny.

Uzupełnienie do listu mamy Ani w sprawie wyjazdu młodszych dzieci z armią Andersa: mojego Janka też proszono, żeby coś załatwił, jak wyjeżdżał do Taszkentu. I wiem, że wielu chłopców - 12-to, 14, 15-letnich wyjechało - matki się zgodziły, bo obiecano, że wywiozą ich na południe, a potem za granicę. Tymczasem wywieźli ich do kołchozów i sowchozów i długie miesiące czy lata nawet trwały, zanim matki się dowiedziały, że oni tam są. A delegatura "na pysk" uciekała stamtąd, bo po zerwaniu umowy z Sikorskim było niebezpiecznie. Kiedyś znalazłam jakąś gazetę rosyjską, w której napi-

30
sali: "ten bandyta Sikorski..."...~~xxxx~~

W Kazachstanie mężczyzn było bardzo mało, gdyż wszystkich w sile wieku osadzono w więzieniach i w łagrach. Umieralność była ogromna - zwłaszcza wśród dzieci.

Moje pierwsze wrażenie z Polski - u pp. Żeromskich - to było zetknięcie się z czystą pościelą w łózkach. Jak to zobaczyłam, to sobie pomyślałam: przecież ja ją zabrudzę! Przecież przez tyle lat mydła nie było, bieliznę podartą gotowało się w sodzie, żeby choć trochę brudu zeszło i wszystko wyglądało jak ziemia. Jak przyjechałam do cioci i pokazałam jej swoją koszulę, to ona zaproponowała, żebym ją zostawiła na pokaz. ~~Al~~ ja ją wzięłam i spaliłam. Do pp. Żeromskich przywiozłam jeszcze pud mąki pszennej razowej (z pszenicy zwanej kubanką) - bardzo ładnej i białej. Bardzo byłam dumna, że mieliśmy z czego w drodze piec placki i jeszcze resztkę dowiozłam do kraju. A tam taka guwernantka, która służyła u pp. Ż., jak zobaczyła tę mąkę, to się ucieszyła, że będzie miała, czym króliki karmić - było mi tak przykro, że tą piękną mąką będzie karmić króliki.

W Polsce po wojnie było bez porównania lepiej, ~~niż~~ niż tam u nas - w Kazachstanie. Co prawda zarobki były małe, wielu rzeczy nie można było dostać, ale więcej było niż teraz. Ja na początku zarabiałam szcyciem. Do pracy poszłam w 50r. i pracowałam do 70-go roku. Trudności żadnych z pracą nie miałam. Ależała mi się jeszcze emerytura po mężu, ale dali tylko 100 zł więc z tego nie można było żyć.

W Anglii /synów/ byłam w 57 r. pierwszy raz i nic nie było. A w 66r. - po drugim pobycie - przyszli do biura, powiedzieli, że są z milicji i chcą porozmawiać na temat pobytu w Anglii i zapowiedzieli wizytę w domu. Ale pytali bardzo grzecznie i oględnie - czy ktoś mi czegoś nie podawał, czy czegoś nie przewoziłam i takie głupstwa różne /jak by tak było, to bym się akurat przyznała!/. Synów też pytali - dlaczego nie wracają, więc wytłumaczyłam, że po tylu latach tam się ustabilizowali, mają rodziny, więc trudno, żeby tu wracali i zaczynali od początku.

.....
Relacja nagrana w kwietniu 1988r.